Nr. 48. We Lwowie dnia 2. grudnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wychodźtwo polskie w Niemczech.

Zasadniczym rysem współczesnego wychodźtwa polskiego do Niemiec jest to, że emigrację powoduje potrzeba zarobkowania wogóle, a dążność do podwyższenia skali zarobkowej w szczególności.

Bezwątpienia twierdzić można, że w większych miastach, jak Berlin, Frankfurt nad Odrą, Szczecin, Magdeburg, Hala i t. d. już na początku tego stulecia istniały kolonje polskie, składające się z kilkudziesięciu, a nawet i z kilkuset rodzin: lecz istnienie i tworzenie się tych kolonij nie powstało na tle tego wielkiego ruchu zarobkowego, jaki obecnie decyduje o miejscu pobytu dziesiątków tysięcy ludności polskiej i z coraz zwiększającą się siłą kieruje wychodźtwo ze wschodnich prowincji Prus — na zachód.

W tem znaczeniu więc można twierdzić, że kolonje polskie w Niemczech są produktem przeważnie ostatnich dziesięcioleci dziewiętnastego stulecia, w każdym zaś razie początki ich nie sięgają pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Spis ludności, uskuteczniony w 1861 roku, nie wykazuje np. w Westfalji ani jednego Polaka, prowincje nadreńskie i Brandenburgja (z Berlinem) podług tejże statystyki liczyły po 16 Polaków.

Są to cyfry naturalnie niezgodne z istotnym stanem rzeczy, dowodzą one jednak, że w żadnej miejscowości w wymienionych powyżej prowincjach nie istniały zarobkowe osady polskie w tych rozmiarach, aby wydawały się godne wyszczególnienia.

Zły stan rolnictwa w prowincjach polskich, nieznośne warunki polityczne, natomiast względna swoboda, a przedewszystkiem wysokie ceny pracy w okręgach przemysłowych w głębi Niemiec, jak niemniej wzrastająca potrzeba robotników w niemieckiem rolnictwie — te oto przyczyny wywołały masowe wychodźtwo Polaków z Poznańskiego, z Prus Zachodnich i Wschodnich na Zachód.

Około 1865 roku landraci pruscy w urzędowych opisach powiatów: Gnieznieńskiego, Wyrzyskiego, Inowrocławskiego i innych, nie zauważyli jeszcze emigracyjnych skłonności wśród miejscowej ludności. Jedynie żydzi emigrowali do Ameryki.

Tymczasem wkrótce potem, bo już w r. 1873, obwody Bydgoski i Kwidzyński pod względem wychodźtwa stanęły na pierwszem miejscu w całych Prusach. Do r. 1872—7 wyemigrowało z Prus wsch. i zach. 44681, z Poznańskiego 21525, ze Śląska 12146 ludzi.

Z biegiem czasu cyfry te znacznie się podniosły.

Główny żywioł, z pomiędzy którego rekrutują się wychodźcy, stanowią przeważnie robotnicy miejscy, komornicy i chałupnicy. Chłop, na gospodarstwie osiadły, rzadko opuszcza strony rodzinne. Emigrujący zabierają ze sobą zazwyczaj 100—200 mk. Są to pieniądze zaoszczędzone: spostrzeżono, że emigruje przeważnie chłop inteligentny, pracowity, trzeźwy i oszczędny.

Głównych zastępów dostarcza emigracji polskiej w Niemczech t. zw. obieżysastwo. Obieżysasi — są to robotnicy sezonowi, którzy udają się na zachód, aby w okolicach, gdzie przeważnie kwitnie uprawa buraków, bawić przez cały czas kampanji buraczanej dla zarobku. Późną jesienią obieżysasi wracają do kraju.

Obieżysasów do właściwego wychodźtwa zaliczyć nie można ze względu na to, że wracają do kraju, — liczny jednak zastęp ich pozostaje na zawsze w Niemczech, zasilając w ten sposób szeregi emigracji.

Wzrost tego rodzaju wychodźtwa datuje się od czasu silnego rozwoju uprawy buraczanej w zachodnich prowincjach Prus: Hanoweru, Brunświku, Saksonji i Meklemburga.

Obieżysasi wychodzą zazwyczaj całemi partjami. Specjalne biura stręczeń pośredniczą w zawarciu kontraktu pomiędzy kompanjami obieżysasów a pracodawcą, Niemcem. Biura te utrzymują swoich agentów i naganiaczów, którzy wer-

bują lud w prowincjach polskich. Wielcy agenci, trudniący się dostawą robotników z Księstwa dla rolników niemieckich, tworzą pomiędzy sobą kartel, rozdzielają pomiędzy siebie okręgi i żaden z nich nie zapuszcza się do okręgu swego kolegi. W werbowaniu robotników posługują się oni zazwyczaj dawniejszymi wychodźcami. Gdy grunt już przez zaufane osoby agenta dostatecznie przygotowany, przybywa sam pośrednik w celu spisania z ludźmi kontraktu. Scena ta odbywa się w gospodzie, przy sutym traktamencie. Jeden z publicystów niemieckich, dr. Kärger, tak opisuje tę scenę:

„Oto zbliża się uroczysty moment odczytania kontraktu, pomiędzy robotnikiem a chlebodawcą, w imię którego agent występuje. Zwyczajowe punkta kontraktu o liczbie godzin roboczych, długości dnia roboczego, o mycie, o zachowaniu się robotnika względem pana bywają przyjmowane w milczeniu. Lecz jest to tylko cisza przed burzą, bo ledwo ajent rozpoczął odczytywać ustęp, w którym wyrażoną jest wysokość płacy, burza się zrywa; „Za taką płacę nie pójdziemy na robotę. Tam i tam płacono jeszcze raz tyle. Wolę leżeć w domu, niż dla takiej marnizny tłuc się po świecie. Przy takiej płacy nikt na życie nawet nie zarobi.“

Takie głosy podnoszą się zewsząd. Agent spokojnie czeka, aż pierwsze oburzenie minie i wtedy rozwija swą zręczność. Przypomina, że sam był kiedyś robotnikiem, że wie, co to znaczy pracować przy lichej płacy na marny kawałek chleba, z drugiej jednak strony umie też ocenić, że przy płacy przez niego ofiarowanej, może każdy dobrze obstać. — Przemową tą zyskuje ajent ucho słuchaczy.

Nic tak nie wpływa przekonywająco na lud, jak zapewnienie, że było się w takiem samem położeniu, jak słuchający ludek. Agent, spostrzegłszy, że przemowa nie mija bez skutku, zwraca się do robotnika lub robotnicy, znanych jako ludzi rozważnych. Oni mają powiedzieć, jakie przy proponowanej przez agenta płacy mieli zarobki, czy to przy obróbce buraka, czy to przy kośbie zboża, czy przy wybieraniu okopowizn. „Niechaj powiedzą, ile ta kobieta, oddana na akord, im przynosiła.“— Ano — być może wołają inni — ale może ziemia będzie piaszczysta, może jaki sap, w którym po kolana się zapada, a może ona pod wpływem suszy w opokę się zamieni!“ — Takie i tym podobne uwagi padają z ust robotników. Teraz agenta rzeczą wystawić stosunki wsi lub okolicy, dla której zbiera robotnika, w jak najlepszem świetle. Jeżeli wśród zgromadzonych znajdzie się choćby jeden znający okolicę i jeżeli warunki robocze tej okolicy są jakie takie, ajent wygrał. Zwraca się więc ajent do robotnika, znającego okolicę, przez agenta zachwalaną — ów robotnik znalazł się może wypadkiem wśród zgromadzonych, ale często bywa umyślnie sprowadzany — i zapytuje się, czy nie mówił prawdy, zachwalając ową wieś i okolicę. Niechaj powiedzą, gdzie mieli takie wysokie zarobki? Krzykacze chwalą się oczywiście bajecznemi zarobkami, ale wywołują tylko niedowierzanie wśród swoich — i wtedy ajent odnosi tryumf zupełny. Skoro tylko jeden zdecydował się na podpisanie kontraktu i oni idą za jego przykładem.“

Wielu mniejszych agentów wyszło z szeregu obieżysasów. Pracowali oni dawniej w wioskach w Saksonji, stali się „przewodnikami“ — a poznawszy stosunki, zajmują się łowieniem robotnika, przyczem zarabiają niemało grosza. Agenci, którzy mają własne biuro, zarabiają na werbunku robotnika tysiące talarów. Znajdują się pomiędzy nimi tacy, którzy albo oszukują robotnika, albo chlebodawcę. Często się też zdarza, że ajenci ludkowi polskiemu, nie rozumiejącemu po niemiecku, przyobiecują wyższe płace, niż w kontrakcie wyrażono. Ludziom mało doświadczonym pokazują arkusze z urzędowemi stemplami, aby wzbudzić w nich przekonanie, że władze gwarantują za wypłatę myta i t. p.

Podróż z dzielnic, położonych po za Łabą na Zachód, odbywa się kosztem właścicieli, najmujących robotnika przez agentów. Jak w osiemdziesiątych latach koleje przepełnione były emigrantami, dążącymi do Bremy i Hamburga, aby stamtąd wyjechać do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, tak teraz na wiosnę wywożą koleje na Zachód tysiące robotników z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, z Górnego Śląska, Prus Zachodnich i t. d. Kto w wiosennej porze odbywa podróż koleją po wschodnich dzielnicach, spotyka nieraz na dworcu tłumy wychodźców, czekających długie godziny na pociągi. Poczekalnie nie mogą pomieścić tych tłumów, czekają one na peronach i korytarzach dworca, na przejściach i placach przeddworcowych. Zdaje się, że początkowo wychodźtwo bawi tych ludzi. Wyszedłszy z cichych wiosek, spotykają rzeczy dotąd niewidziane, spotykają znajomych i krewnych, rozgadują się z sobą o doli i niedoli.

Przodownicy, agenci lub mężowie zaufania wielkich agentów prowadzą partje swoje od stacji wyjazdu aż do stacji pobytu. Na stacjach czekają drabiniaste wozy, które przewożą ludzi do wsi, do której się zgodzili. Następuje na razie dzień spoczynku. Początkowo ludek roboczy niebardzo zadowolony barakami, w których go mieszczą. W niektórych wsiach jeszcze dziś bardzo niewygodne dla wychodźców jest pomieszczenie. Obecnie pobudowano w wielu wsiach koszary dla wychodźców, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, ale nie wszędzie.

Pod względem politycznym i narodowym w tym ruchu roboczym jest niewątpliwa korzyść dla germanizacji. Robotnicy bowiem, ruszający w głąb Niemiec dla zarobku, przyswajają sobie mowę niemiecką, a przez małżeństwa i stałe osiedlanie się na zachodzie zupełnie się wynaradawiają.

Statystyka jednak za mało jeszcze wyjaśnia, w jakim stopniu ponosimy stratę przez wynaradawianie się na Zachodzie Niemiec.

Niemniej doniosły rodzaj emigracji z polskich prowincji do Niemiec, stanowi emigracja stała do miast niemieckich i okręgów przemysłowych.

Emigrację rzemieślniczo-wyrobniczą z miast prowincjonalnych polskich można przyczynowo powiązać z szybkim wzrostem miast pruskich, w pierwszej zaś linji z wzrostem Berlina.

Potężny wzrost Berlina po wojnie francuskiej uczynił główny punkt atrakcyjny z przeradzającej się na stolicę zjednoczonych Niemiec stolicy Prus. Już w roku 1875 widzimy w Berlinie około 35 tysięcy mieszkańców, którzy wyemigrowali z prowincji polskich.*) Nie są to bezwątpienia Polacy, jakkolwiek statystycy niemieccy za takich ich chcą uznawać. Zapewne przynajmniej trzecią część należy uważać za Niemców pochodzenia polskiego i Niemców rodowitych, którzy wyemigrowali z prowincji polskich.

Na pierwsze te objawy silnego ciążenia ludności polskiej w kierunku zachodnim składała się, jak się zdaje, przeważnie robotnicza ludność, wcale wówczas nie odporna wobec germanizacji. Wnosić to wolno z tego, iż dziś — po upływie ćwierci wieku — ze świecą trzeba szukać wśród kolonji polskiej w Berlinie. Polaka, który się osiedlił w r. 1875, jakkolwiek większość członków ówczesnej kolonji polskiej powinnaby się znajdować dziś w pełni męskiego wieku.

Widocznie te tysiące, naliczone przez statystyków ówczesnych, już dawno wsiąkły bez śladu w obce społeczeństwo, nieznaczna część zaś, — ci mianowicie, którzy zdołali się dorobić czegoś, nie tracąc przytem swej narodowości, — dawno już powróciła do kraju.

Pomiędzy 1875 a 1880 rokiem wychodźtwo z prowincji polskich do Berlina szybko wzrastało. Spis ludności z 1880 roku wykazuje w Berlinie 164.5 tysięcy mieszkańców, przybyłych z Poznańskiego, Prus zachodnich i Śląska.

Równocześnie fale ruchu emigracyjnego zaczynają wyrzucać tysiące wychodźców z dalekiej Westfalji i w prowincjach nadreńskich, wzrost przemysłu górniczego), w Hanowerze i w Hesji (brak robotników rolnych).*)

Następny spis ludności (w r. 1885) w pełni wykazał doniosłość tego ruchu na Zachód. W samym Berlinie okazało się 244½ tys. mieszkańców, przybyłych z czterech prowincji wschodnich monarchji pruskiej. Conajmniej połowy tych emigrantów dostarczyła ludność polska. Obok tego poddanych rosyjskich (przeważnie Polaków z Królestwa, oraz Niemców z nadbałtyckich prowincji) naliczono w samym Berlinie do 41 tysięcy.

Od tego czasu liczba emigrantów polskich w Niemczech stale wzrasta. W roku 1890 wykazuje spis urzędowy, sporządzony z wyraźną tendencją zmniejszania istotnych liczb ludności polskiej, przeszło sto pięć tysięcy Polaków, a mianowicie:

w prowincji	brandenburskiej (z Berlinem)	29.199
„	saskiej	22.506
„	szleswig-holsztyńskiej	4.243
„	hanowerskiej	5 813
„	westfalskiej	25.536
„	nadreńskiej	6.103
„	pomorskiej	10.488

Tenże spis ludności z r. 1890 wykazuje, że najwięcej Polaków przebywało w poniższych kilku okręgach rejencyjnych:

Berlin i Poczdam	23.959
Frankfurt n. Odrą	5.240
Merseburg	10.840
Monaster	5.709
Szwezwig	4.243
Arnsberg	19.480
Dysseldorf	4.835

Spis ludności, który zostanie dokonany w Niemczech 1 grudnia 1900 r. z uwzględnieniem narodowości nie niemieckich, wykaże bezwątpienia znaczny wzrost tych liczb w ostatnich latach.

Dr. K. Rakowski.

*) a mianowicie 5622 (z Prus Zach. i Wsch.) 18.748 (z Poznańskiego) 6984 (ze Śląska i około 3½ tysięcy z Królestwa. Nadto z Austrji. — *Artur Dix. Das Slaventhum in Preussen.*

*) W Westfalji — 18 tys. W prow, Nadreńskich — 18 tys W Hanowerskiem — 11 tys. W Hessji — 5 tys. *Dix* Jeden z wiecowników polskich w Rottropie (Westf.) w r. 1894 twierdził, że w parafji w Rottrop mieszka około 4500 Polaków.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XV.

Hrabianka Marja stała po środku pokoju w ślicznem futerku o ciemno zielonem aksamitnem pokryciu, gotowa do drogi i spoglądała co chwila ku drzwiom. Uchyliły się nareszcie! W progu stanęła jej matka w kosztownej salopie, na ramiona zarzuconej.

— Jedziemy! — zawołała Marja.

— Jeszcze nie. Na ojca musimy zaczekać. Cień przemknął po twarzy dziewczyny.

— Więc pojedzie z nami?....

— Tak powiedział. Już się ubiera.

— I skąd mu to przyszło? Nigdy przecie z nami nie jeździł?

— Nie może doczekać rządcy. Sądzi zapewne, że go spotka w drodze, albo w mieście.

Wtem Marja pochyliła głowę w stronę okna.

— Słyszysz, matuchno?

— Tak — gwar, okrzyki....

— Gajdy — O jak przeraźliwie jęczą! — Nie, naprawdę, to barbarzyńska muzyka!

Ale do pokoju wszedł stary Piotr, i hrabianka, zapominając o hałasie i gajdach, zapytała spiesznie:

— Czy konie już są?

— Są, jaśnie panienko, ale nie wiem, czy będzie można... przynajmniej nie teraz, nie w tej chwili....

Hałas się zbliżał, gajdy jęczały wyraźniej.

— To oni, to oni, Wasza Miłość! — zawołał Piotr z niepokojem, wskazując ręką w stronę okna.

— Kto, oni?

— Chłopi. Idą z Kleńcza. Kto wie, co to znaczy... Innych lat topili wedle zwyczaju zapust we środę popielcową[1]), a potem wracali spokojnie do swoich wiosek...

Wtem uchyliły się drzwi dalsze i z poza nich wyjrzała zwiędła, piegowata twarz Lammingera.

— Pójdźcie tu, do mnie, stąd lepiej widać.

Na widok groźnego pana Piotr się cofnął, a młoda hrabianka odskoczyła od okna i wbiegła spiesznie do pokoju ojca. Za nią postępowała wolniej, choć również zaciekawiona matka.

Cała rodzina hrabiowska skupiła się po chwili u okna, z którego widać było rzeczywiście jak na dłoni, dziwaczny pochód. Na czele kroczyli chłopcy, więksi i mniejsi, głośne wydając okrzyki, za nimi owinięty w grochowiny niedźwiedź wraz ze swym przewodnikiem, dalej, muzykanci, potem maszkary na koniach, Brychta i Ecl również konno, a w końcu tłum górali, mężczyzn i kobiet, sunący długim, różnobarwnym wężem.

Hrabianka zapomniała o projektowanej wycieczce do miasta.

— Ah, djabeł! Jaki śmieszny! I śmierć też... A ci Bawarczycy, Żydzi! — wołała zanosząc się od śmiechu. Matka nie potrafiła również zachować zwykłej powagi, nawet twarz Lammingera wypogodziła się na chwilę. W oczach błysnęła mu złośliwa radość.

— To wszystko z racji tego procesu — tłumaczył żonie. Jak ci szaleńcy z góry już się radują!

— Patrz, ojcze! Widzisz tego słomianego jeźdźca? — zawołała z żywością Marja. — Trzyma coś w ręku... Co by to być mogło?

— Tak, tak, przytwierdziła matka — widzę i ja, lecz nie wiem, co to jest. A wszystkie twarze w stronę zamku się zwracają..

Muzyka, wołania, śmiechy, ozwały się tuż pod samym zamkiem, dziw, że szyby nie popękały.

— Gwałtu! — zawołała hrabianka, zasłaniając obu rękami różowe uszka.

Chmura przesunęła się po twarzy Lammingera, głęboka, prostopadła zmarszczka przecięła mu czoło między brwiami.

— Ha, zuchwalcy! — zawołał — pod samemi oknami!.... Umyślnie tak czynią.....

— A teraz stanęli... Czego chcą, na Boga? — pytała Lammingerowa, zwracając się do męża. Ten jednak zdawał sie nie słyszeć pytania. Całą jego uwagę pochłaniał tłum, który otoczył niewielki staw, znajdujący się przed zamkiem. Dwaj Chodowie wysunęli się naprzód i kilku uderzeniami silnych ciupag przebili lodową powłokę u brzegu. Wtedy jeździec słomiany wystąpił z szeregu, podnosząc wysoko nad głową w kierunku zamku olbrzymi bat. Lud się rozstąpił, przed jeźdźcem stanął djabeł i śmierć.

— Co to znaczy?... — Czemu tak wszyscy zamarli w głuchem milczeniu? — pytała zaniepokojona hrabina.

Złowrogi uśmiech wykrzywił twarz Lammingera.

— Zaraz ci to wszystko wytłumaczę, moja droga, — zaczął lodowatym tonem. — Olbrzymi bat, który podnosi żywy kul słomy, to mam być ja. Temu przycichli, — temu śmierć tak rękami wymachuje i coś mówi... A no, widzisz, dobrze mówię: jeździec wręcza ów bat śmierci i djabłu — to jestem ja... już mnie trzymają... Teraz niby płaczą na pośmiewisko... A teraz — cha, cha, cha!

Z ust hrabiny wyrwał się cichy okrzyk, bo w tej chwili właśnie djabeł i śmierć cisnęli bat pański w głębinę z rozmachem, aż woda bryznęła wysoko. Prawdopodobnie jednak bardziej ją przeraził straszny śmiech męża. Znała go przecie dobrze i aż mrowie ją przeszło, gdy spostrzegła że twarz męża pobladła nagle, jak płótno.

Komnatę zamkową zaległa na chwilę drażniąca cisza, ale z zewnątrz nadleciały wnet dźwięki kobz i radośne wołania ludu.

— Już mnie utopili — wycedził zimno Lamminger, nie odrywając oczu od tłumu. W głuchem brzmieniu jego głosu znać było tłumioną wściekłość.

— Teraz grają mi na wieczne odpoczywanie — mówił dalej tym samym tonem. Ho, ho! Znamy się przecie dobrze... Brychta... a tam dalej Ecl... Widzę... Znam ich wszystkich... I Kozina też!... Jakożby mogło bez niego się obejść?... A jednak miałem cię za mądrzejszego... Więc takiemi sztuczkami myślisz zwyciężyć?... Ha, dość tego, chamska bando! — Rozpędzić ich! — wrzasnął w nagłem uniesieniu, rzucając się ku drzwiom. Ale żona pochwyciła go za ręce, błagając, aby

---

[1]) Zwyczaj ów czeski krewni się z takiemi zwyczajami naszego ludu, jak zapalanie grochowin na przebranym niedźwiedziu w środę popielcową na Podlasiu nadnarwiańskiem, rozszarpywanie na rynku krakowskim bałwana ze słomy pod nazwą *combra*, lub pozorne zabijanie grajka na Kujawach. (Przypisek Tłumacz.)

nie chodził, aby pozostał, bo ciżba ludzi nie przeliczona.

— Szumowiny! Motłoch!...

— Ale namiętność nimi rządzi...

— Gorzałka raczej... Psami ich wyszczuję!...

— Patrz, ojcze, sami mają się do odejścia!— zawołała skwapliwie hrabianka.

Matka jej odetchnęła.

Lamminger zwrócił się znowu do okna. Pochód sunął rzeczywiście dalej z muzyką i śpiewem.

— Nie wrócą już, idą do Ujazdu! — mówiła żona...

— A no, idą, idą! Coby nie mieli iść, skoro Kozina ich zaprasza! — rzekł Lamminger spokojniejszym już tonem, choć z dziwnym błyskiem oka. Oświadczył też zaraz żonie i córce, że nie będzie im towarzyszył do miasta. Lecz i one straciły chęć do spaceru, obawiając się spotkania z góralami.

Lammingera nie obawa jednak zatrzymała w domu, lecz pilne zajęcie. Udał się natychmiast do kancelarji i zarządził, aby szczegółowy opis dzisiejszych wypadków przesłano jednocześnie do Wiednia i Pragi. Rozkazał też wezwać Kozinę i wójtów z Postrzekowa, Kleńcza i Ujazdu, aby nazajutrz stawili się na zamku.

Hrabina tymczasem pocieszała i uspakajała córkę, która wróciwszy do swego pokoju, wybuchnęła płaczem.

— Najdrobniejszej nawet rozrywki trzeba się wyrzec! — łkała Marja w uniesieniu żałości i gniewu. — Między takimi dzikusami nas trzyma... każe nam tu żyć!...

I młoda dziewczyna ukryła twarz w koronkowej chusteczce, nie dając posłuchu słowom matki, która siedząc obok, troskliwie nad nią się pochylała. Nagle dobrotliwa pani umilkła, córka też uniosła głowę.

— Tętent kopyt końskich - rzekła matka. - Ktoś wpadł śpiesznie na podwórze zamkowe... zapewne posłaniec, którego ojciec wyglądał...

Chciała zadzwonić na Piotra, aby się dowiedział, gdy do pokoju wszedł sam Lamminger z rozwiniętym papierem w ręku.

— Mam, już mam!—zawołał z żywością, aż hrabina podniosła na niego zdumione spojrzenie. Oczy mu płonęły, na licach wystąpiły krwawe rumieńce. Poddawał się cały wzruszeniu.

— Posłaniec przyjechał... Sprawa rozstrzygnięta... Chodowie przegrali... Komisja nie uznała ich praw...

— Wygrałeś więc?...

— Najzupełniej. Ha, ha! zagrali dziś sobie po raz ostatni... A nawet i to nie ujdzie im płazem.

— Ale oni sami o tem jeszcze nie wiedzą?

— Ani przypuszczają nawet — to się dopiero zdziwią! Ale, co widzę, ty się jeszcze chmurzysz, córeczko? — zwrócił się do Marji, biorąc ą pod brodę. — Bądź-że dobrej myśli, nie potrzebujesz teraz obawiać się tych chamów. Skoro tylko skończę z nimi, wnet się spełnią twoje życzenia. Pojedziemy do Pragi..

— A kiedy to będzie?

— Mogłoby być bardzo prędko, gdyby w Wiedniu wiedziano, jak u nas sprawy stoją. Ale oni tam wyobrażają sobie, że istnieje dotąd jeszcze jakiś zamek chodzki i nakazują, aby „wyrok komisji cesarskiej był ogłoszony Chodom na ich grodzie w Domażlicach.“ Ha, ha! Bywało to niegdyś, — ale niech panowie wiedeńscy raczą zajrzeć do tych ruin; a w jaką pychę wzbiło by to hardych chamów! Na szczęście znakomitem wędzidłem do jej poskromienia stanie się ten oto papier. Trzeba też będzie ogłosić, że tu na naszym zamku usłyszą o świetnem swojem zwycięstwie!...

Pani Lammingerowa podniosła po raz drugi zdumione oczy na męża. Jak się cieszył, jak tryumfował! Tak rozmownym, tak silnie wzruszonym nie widziała go jeszcze nigdy w życiu!

Hajduk dworski, który, wróciwszy wieczorem z Ujazdu, przyniósł, jak mu się zdawało, wiadomości bardzo przykre, sam sobie nie wierzył, że wywarły one tak słabe wrażenie na pana.

— Kiedym przyszedł — zdawał pokornie sprawę — weselili się, jako dzicy. Tańczyli, wrzeszczeli — a najgłośniej Brychta. Zaczęli też wnet drwić i naśmiewać się ze mnie. A gdym powtórzył rozkaz, aby stawili się na zamek, Brychta skoczył, jak pantera, wołając: „Mamy własny swój zamek i innego znać nie chcemy! Mamy własne prawo w Domażlicach, na grodzie!

Hajduk urwał w oczekiwaniu burzy, która jemu najpierw miała się dać we znaki, ale pan skinął jeno spokojnie głową i rzucił krótkie: „Dalej!“

— Potem przyleciał ku mnie Ecl z Kleńcza i jął krzyczeć: „Idź i powiedz swemu panu, aby nas nie wzywał po próżnicy. Robociznami niech obarcza kogo mu się żywnie zawidzi, my nie mamy żadnych względem niego obowiązków“... Tak mówił, Miłościwy Panie, a potem wybuchnął śmiechem i powiada: „A pocóż nas wzywa? Może chce nam dziękować za dzisiejsze, a może bata żałuje? Ale już nie poradzi: pogrzebaliśmy go na wieki!“ — I znowu począł się śmiać i krzyczeć, a cała gromada brzęczała wokoło mnie, niby rój os...

Hajduk oniemiał znowu. Pan ani brwią nie ruszył, jeno jakiś dziwny uśmiech błąkał się mu po ustach.

— A cóż Kozina? — zapytał.

— Tegom nie widział...

— Nie może być! — zawołał Lamminger, tracąc po raz pierwszy obojętny spokój. — Musiałeś go przeoczyć...

— Nie, miłościwy panie, wszak rozmawiałem z nim we własnym jego domu, dokąd poszedłem, aby mu powtórzyć rozkaz pański.

— No i cóż?...

— Siedział przy stole z żoną. Ta się bardzo przelękła, lecz on powstał spokojnie i zapytał,

z czem przychodzę? Powiedziałem. On na to: „A po co?“ — Odrzekłem, że nie wiem, wtedy oświadczył, że w takim razie nie pójdzie. Zaczekałem chwilę, sądziłem, że cofnie swoje słowa, ale ci ludzie...

— Dość! — przerwał Lamminger, z którego twarzy uśmiech zniknął teraz bez śladu, ustępując miejsce posępnej zadumie.

Hajduk wciąż jednak dziwił się, że relacja jego tak spokojnie została przyjęta i z podziwienia tego nie mógł się otrząsnąć przez cały wieczór. (C. d. n.)

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

12 PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

Rocco uklęknął, oparł czoło o krawędź łóżka i klęczał tak przez chwilę, bez płaczu, ni jęku. Potem, powoli, wziął skostniałą rączynę, pocałował ją i wsunął coś między paluszki... Matka rzuciła mu spojrzenie lodowate, jak gdyby go chciała odegnać.

Wyszedł, ale cofnął się w głąb korytarza i stanął w cieniu.

Przesuwało się przed nim mnóstwo ludzi — kobiety, dzieci, oficerowie, żołnierze. Przejęci współczuciem lub ciekawością, przychodzili obejrzeć pokój kwiecisty i zwłoki.

Nikt nie pytał, co znaczy w ręku dziecka ten papier złożony i zapieczętowany, jak list. Wszyscy wiedzieli, że jeżeli zmarłemu dziecku wsunie się w rękę pismo z prośbą o jaką łaskę do Jezusa lub Matki Boskiej, to dziecię, zanosi je do Nieba.

Dlatego to galernik powierzył ukochanemu *piccerillo* prośbę, wystosowaną do Matki Boskiej Bolesnej.

. . . Ludzie wchodzili, klękali, modlili się, wychodzili. Każdy patrzał ze współczuciem na nieszczęśliwą kobietę, siedzącą nieruchomo, jak posąg boleści i rozpaczy.

Kapitan odciągnął ją na bok i szepnął:

— Już czas!

— Idźmy! — rzekła stanowczo.

Poszła do sypialnego pokoju, wzięła płaszcz i kapelusz. Gigli zatrzymał ją pod urojonym pozorem, dopóki trumny nie zamknięto. Żołnierze spełnili to tak cicho, tak delikatnie, że złowieszczy odgłos nie doleciał do jej ucha.

Grazieta i Rocco byli obecni przy wkładaniu zwłok do trumienki. Służąca płakała po cichu. Galernik miał oczy czerwone, płonące jak gdyby od łez krwawych, ale już suche. Trumienka wewnątrz i zwierzchu zasypana była kwiatami.

Zniesiono ją na dół. Uformował się orszak, który miał odprowadzić zwłoki do przystani.

Trumnę, podobną do snopu kwiatów, wzięli na barki żołnierze. Wtedy dopiero wyszli z domu rodzice.

Cecylja miała twarz zasłoniętą welonem. Drgnęła na widok tego tłumu i światła dziennego, od którego już jej oczy odwykły.

— Czy on tam, pod temi kwiatami? — spytała męża.

— Tak.

— Czy ja go jeszcze zobaczę?

— Tak, w Neapolu.

Żałobny orszak ruszył i posuwał się wolno. Za trumną szli rodzice, za nimi oficerowie, urzędnicy, ich żony. Cecylja, oparta na ramieniu męża, utopiła oczy w jeden punkt w tę trumienkę, usianą kwiatami. Po za tem nie widziała nic i nikogo. Ostatni szedł Rocco. Słońce rzucało chłodne blaski na drzewa odarte, z liści, jakby wyłysiałe. Zdawało się, że ten orszak opuszcza wyspę na zawsze.

U wielkich wrót żelaznych, konwój stanął, uczestnicy pożegnali rodziców. Każdy ściskał po koleji rękę kapitana i mówił mu kilka słów serdecznych.

Potem wrota zawarły się, tłum powrócił do galer, ku przystani poszli tylko dwaj żołnierze, niosący trumienkę, rodzice i kilku oficerów.

Rocco nie wracał z innymi, stanął na wzgórzu i gonił okiem za tym orszakiem, który spuszczał się coraz niżej, coraz niżej, to znikał, to ukazywał się znowu pomiędzy drzewami; za tą trumienką, w której *piccerillo* odchodził do Boga.

Przygotowana łódź nie miała żadnych oznak żałoby; przeciwnie, ławki były usiane kwieciem. Przewoźnicy wzniesieniem wioseł powitali zmarłą dziecinę. Ustawiono trumienkę na środku łodzi,

Rodzice usiedli na przedzie, otoczeni żałobnym orszakiem. Łódź pomknęła po modrem morzu, wonna, kwiecista, jak gdyby niosła ludzi szczęśliwych. Fale kołysały Marja do snu wiecznego.

Owego poranku na opustoszałem wybrzeżu Bagnoli stały tylko dwa powozy. Nikt nie przyjeżdżał, nikt nie przechodził, nikt się nie zatrzymywał, aby spojrzeć na tę łódź kwiecistą.

Ale Rocco wiódł oczyma za ukochanem dziecięciem, które na kwiatach, lazurowem morzem odpływało ku wiekuistej wolności.

Nie mógł go pożegnać za życia, więc żegnał się z nim teraz, po śmierci, mówił do niego po cichutko, nazywał go *piccerillo*, *piccerillo bello*, polecał mu zanieść do Nieba list i oddać go samej Madonnie...

Dziecię oddalało się, oddalało się coraz bardziej... Wyniesiono je z łodzi, złożono w powozie, wśród kwiatów. Rodzice usiedli naprzeciw. Żałobny orszak zajął miejsce w drugim ekwipażu. Oba pojazdy ruszyły.

Piccerillo był już daleko, bardzo daleko, na drodze do Fuorigrotta.

Wszystko skończyło się.

X.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. Lekka zasłona mgły jesiennej, powlekająca niebo w dzień, jakby zwojami iluzji, zmieniła się w nocy na gęste chmury. Niebo zdawało się ciężyć ołowiem nad czarnem morzem. Nie czuć było jednak w powietrzu ani burzy, ani deszczu.

Spokój wielki panował na niebie i na ziemi. Szyldwachy, jak zwykle, nawoływali się i odpowiadali sobie co kwadrans, punktualnie, niezmiennie. Hasło płynęło w jedną stronę, odpowiedź wracała w drugą.

— *Czuwaj!*

— *Baczę!*

Hasło brzmiało doniośle, jak dzwon, uderzający na alarm; odpowiedź była cichsza, świadcząca o zupełnem bezpieczeństwie.

Spokój owej nocy był niezmącony, uroczysty niemal.

Nagle około drugiej, szyldwach, stojący na cyplu, zwróconym ku Puzzoles, drgnął: nie usłyszał wprawdzie żadnego szelestu, lecz instynktownie odczuł obecność jakiegoś żywego stworzenia, zwierzęcia czy człowieka.

Niekiedy w ciemnym pokoju na ulicy, w polu zdaje ci się, że jesteś sam zupełnie; nagle nabierasz przekonania, że ktoś jest w pobliżu: nic nie dostrzegłeś, nic nie usłyszałeś, ale *czujesz*, że przestrzeń pusta przed chwilą, zajęta została przez jakieś ciało.

Takiego wrażenia doznał szyldwach. Wytężył wzrok, ale nic nie dojrzał. Więc pomyślał, że to kolega z najbliższego posterunku przychodzi go prosić o zapałkę dla rozniecenia fajeczki i spytał cicho:

— Kto tam?

Nie było odpowiedzi. Sądził, że go słuch omylił. Ponieważ jednak ów żołnierz był Kalabryjczykiem, przyzwyczajonym do nocnych pochodów, zdwoił czujność i słuch wytężył. Ale znowu zaległa cisza.

W pół godziny potem doświadczył znowu tego samego uczucia. Zdało mu się, że ktoś poruszył się wśród zarośli, okrywających zrąb skalny. Żołnierz bez wahania złożył się i strzelił. Padły dwa rozdzierające okrzyki.

W tejże chwili zewsząd komenda zabrzmiała:

— Do broni, do broni!

Rozległo się kilka wystrzałów, potem jak paciorki z rozerwanego różańca posypały się strzał za strzałem; kula za kulą padała w morze, albowiem raz na zawsze dany był rozkaz, aby w razie alarmu strzelać w stronę morza, dokąd niezmiennie dążyli zbiegowie.

Nisidę opasały dokoła błyski i dymy. Pod dowództwem oficera wyprawiono patrole. Obiegały wyspę cwałem, przetrząsając drzewa i krzaki. Słychać było nabijanie karabinów. Zbrojny oddział rzucił się ku wybrzeżom, obu łodziom wydano rozkaz opłynięcia brzegów.

W sypialniach więziennych dozorcy wzywali galerników do apelu, dla stwierdzenia, kto uciekł.

Zapalono wszędzie światła. Pomocnik, zastępujący nieobecnego dyrektora, na wpół ubrany, blady, przerażony odpowiedzialnością, która na niego spadała, był przy apelu.

Galernicy zaspani, wystraszeni, nie chcieli odpowiadać lub też ociągali się z odpowiedzią; dozorcy wrzeszczeli, klęli, sypali kary, jak z rękawa.

Gdy dana sypialnia okazywała się w komplecie, pomocnik dyrektora oddychał swobodniej.

Kto wie? Może to był popłoch fałszywy?

Pomimo to sprawdzano dalej, strzały nie ustawały.

Wezwany do apelu galernik, odpowiadał nieraz zuchwale:

— Ja tu jestem; szczęśliwy ten, kto umknął.

Wszyscy zazdrościli zbiegom; można to było wyczytać w złośliwych uśmiechach, świadczyły o tem słowa, zamieniane półgłosem.

Pozostawała już jedna tylko sypialnia do zlustrowania, spało w niej sześćdziesięciu galerników. Tylko pięćdziesięciu ośmiu odpowiedziało na apel. Pomocnik dyrektora zbladł śmiertelnie.

— Kogo brakuje?

— Giacoma Calama, przezwanego *Drwij ze śmierci*.

— A kto drugi?

— Rocco Traeta, przezwany *Wiewiórka*.

— Czy młodzi?

— Tak, obaj młodzi.

Pomocnik dyrektora zagryzł wargi, tłumiąc klątwę siarczystą i pobiegł kierować pogonią.

Nazwiska Traetty i Calamy były na ustach u wszystkich, podawano je sobie wzajem z rozmaitemi uwagami i dodatkami.

Wśród drzew i krzaków błyskały światełka, inne błądziły nad morzem, kilka nawet zajaśniało na wybrzeżu Bagnoli. Łodzie z ogromnemi latar-

niami odpływały z przystani, olbrzymie ich latarnie pozostawiały krwawą bruzdę na morzu. Te łodzie okrążały wyspę powoli, wpływały w każde zagłębienie wybrzeża. W świetle latarni migały lufy karabinów.

Raport o ucieczce został złożony pomocnikowi dyrektora nazajutrz dopiero. Znaleziono dwa łańcuchy przepiłowane, tam, gdzie szyldwach Kalabryjczyk uczuł obecność zbiegów.

Nie znaleziono Giacomy Calama ani żywym ani umarłym, ani na ziemi ani na morzu, ani w Bagnoli ani w Puzzoles — nigdzie. Uznano go za „zbiegłego".

Rocca Traetta, zwany Wiewiórką, został odnaleziony na skale, z roztrzaskaną czaszką, nieżywy...

Koniec.

Z pism i książek.

Z kryminalogji.

We Wrocławiu przeprowadzono niedawno ankietę co do czterystu żebraków i włóczęgów, zatrzymanych przez policję. Badanie dotyczyło ich stanu fizycznego i umysłowego, oraz ich przeszłości od pierwszych lat dzieciństwa i dało następujące ciekawe rezultaty.

Większość zatrzymanych indywiduów należy do upośledzonych fizycznie, skutkiem czego 70 proc. okazało się niezdolnych do wojska, około 50 proc. okazało cechy zwyrodnienia, przekazane dziedzicznie, w połowie tych wypadków wykryto: pijaństwo rodziców, w pozostałych epilepsję oraz inne choroby nerwowe i umysłowe. Równie niski jest ich poziom umysłowy: 53 proc. badanych nie umie wcale czytać i pisać, inni poprzestali na jednoklasowej szkole miejskiej. Prawie w trzeciej części wypadków wykryć można wrodzoną lub nabytą we wczesnem dzieciństwie słabość umysłową, a 6 prc. podlegało w późniejszym czasie chorobom umysłowym. Większość (87 prc.) pija codziennie wódkę, wydając na ten cel 0,20 do 1,50 m., a 60 prc. okazuje typowe objawy chronicznego alkoholizmu. Ciekawy jest u poszczególnych indywiduów początek ich wejścia w szeregi kryminalistów. Przypada on zwykle w jednej z trzech następujących epok życia: 1) między rokiem 15 a 20, t. j. w chwili rozpoczęcia pracy zawodowej; 2) między rokiem 25 a 30, t. j. w epoce, gdy walka o byt najsilniej daje się odczuwać; 3) między rokiem 35 a 40, t. j. gdy alkoholizm najwięcej ognisk domowych rujnuje. Wśród tych, których włóczęgostwo ma początek we wczesnej epoce życia, przeważają osobniki z natury słabe fizycznie i umysłowo, dziedzicznie obciążone, gdy wśród pozostałych większość stanowi ludność napływowa wiejska, nie mogąca w mieście znaleźć dla siebie prawidłowych warunków pracy.

Mapa Galicji. Litografja *Flemminga w Głogowie*. Na składzie głównym *Księgarni Polskiej* we Lwowie 1900. Karta ta opracowana przez jednego z wybitniejszych niemieckich kartografów, *Herricha*, została dla naszego użytku spolszczoną, a w nomenklaturze uzupełnioną przez *Fr. Barańskiego*. Firma Flemminga wydaje już od kilkudziesięciu lat karty generalne pojedyńczych prowincji Niemiec i Austrji (też osobno kartę Polski), a postęp jest tak ogromny w tych wydawnictwach, że zaprawdę wierzyć się nie chce, że prace dzisiejsze, jak np. Galicja, a prace z przed laty 10, są dziełem tych samych rysowników i tej samej szkoły. Formy terenu, ukształtowanie Karpat, Podola i niżu galicyjskiego są na karcie bez zarzutu, a tego nie możemy *o żadnej innej tego rodzaju* karcie powiedzieć (nb. z wyłączeniem świetnej mapy Majerskiego, która jednak należy do zupełnie innej kategorji map)*). Mapa Herricha jest typową *kartą kancelaryjno-kantorową*, ścienną, ale ze względu na ogromną ilość szczegółów typograficznych, musi być zawieszoną w poziomie wysokości człowieka i naturalnie do celów szkolnej *nauki* się nie nadaje. Oprócz ogromnie bogatego, może za wiele bogatego materjału topograficznego, podaje karta podział administracyjny, nader starannie wykonany, sieć gościńców i kolei, z uwzględnieniem linji komunikacji pospiesznej.

Polska nomenklatura nie jest, niestety, bez zarzutu, bo jest wyłącznie dosłownem tłumaczeniem niemieckiej, podczas gdy mamy własną, częściowo ludową, na której utrzymaniu nam przedewszystkiem zależeć powinno; w obrębie węgierskich Karpat jest zaś polska nomenklatura już z gruntu fałszywą. Bardzo należy żałować, że ta karta, *swemu celowi* wreszcie zupełnie odpowiadająca, tylko pozornie polski charakter przybrała.

Wyszedł z druku zeszyt VIII Słownika języka polskiego, wydawanego pod redakcją J. Karłowicza A. Kryńskiego i W. Niedzwiedzkiego i zawiera wyrazy od Jednoskośny do Kieczczysko na 160 stronach ósemki większej.

Do „Bibljoteki przyrodniczej Wszechświata" przybył *Podręcznik mineralogji* profesora D. G. Czermaka, przełożony z piątego wydania niemieckiego, uzupełniony i przedmową historyczną opatrzony przez Józefa Morozewicza.

*) Drobne wadliwości zauważyłem w rysunku pogórza i stawów nadwiślańskich.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul Kopernika 5.